



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Mali pracownicy.

MAŁI PRACOWNICY.

O moźni tej ziemi!
 Nie gardźcie małemi,
 Co w ciężkim pracują mozole.
 Choć trudy nie liche,
 Choć prace te ciche
 W tak ciasnem zawarły ich kole.
 Nie same na świecie,
 Olbrzymy są przecie,
 Nie same, lwy, orły wspaniałe.
 Lecz mrówki też drobne,
 W przemyśle sposobne
 Jak wielkie w swych pracach choć małe.
 I wiejskiej też dziatwy,
 Byt wcale nie łatwy,
 Choć niby w prostocie swej błogi.
 Wciąż starszym w odwodzie,
 Trwać musi przy trzodzie,
 Gdy tylko podrośnie na nogi.
 Gdy trzódki beczące,
 Pasą się na łące,
 Dni przy nich przepędza samotne.
 Lub biega w zawody,
 By ustrzedz od szkody,
 Gąsienka głupiutkie a psotne.
 Deszcz moczy, żar pali;
 Ej! kto tam się żali:
 Rzecz zwykła to w lecie i wiośnie!
 A chwila niedługa,
 Do cepa do pługa,
 Dłoń drobna pacholąt wyrośnie.
 I tylko po niebie,
 W serc czystych potrzebie
 Oczyma szukają niezłomnie.
 Tego co na ziemi,
 Rzekł słowa świętami:
 „Dopuszcie małuczkiem przyjsć do mnie!”

E. L.

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

Ta okoliczność pociągnęła za sobą fatalne następstwa, czarni bowiem, rozzuchwaleni, z groźnymi wrzaskami rzucili się do ataku. Morbora, otrzymawszy cios maczugą w głowę, runął jak długi na piasek; tłum nagich postaci, o cienkich nogach, długich rękach i kudłatych głowach, przebiegł szybko przestrzeń kilkudziesięciu kroków i zatrzymał się naprzeciw naszych podróżników.

— Na ziemię, na ziemię! zawołał Dugan.

Zaledwie zdołano to uczynić, gdy posypał się z przeciwległego brzegu jeziorka grad bumerangów, które, warcząc,

pościwały gałęzie krzaków, ukrywających wyprawę, i zakreśliwszy łuk w powietrzu, wróciły, skąd zostały wyrzucone. Jeden z nich trafił w szyję wielbłąda, należącego do Halma i zranił go znać boleśnie, gdyż zwierzę z głośnym kwikiem pobiegło w pełnym galopie wzdłuż jeziorka.

— Czy wszyscy cali? zapytał niespokojnie Dugan, podnosząc się ze swego ukrycia.

— Mnie bumerang zrzucił kapelusz z głowy, odparł z uśmiechem Tom, nabijając z zimną krwią dubeltówkę; mam na oku zuchwałego łotra, który mi wyrządził tego figla; przekona się niebawem, że lepiej trafiam od niego.

Z ostatnimi słowy pastuch pociągnął za cyngiel i stojący naprzeciw dziki, podskoczywszy w górę, upadł tuż nad brzegiem jeziorka. Jerzy równie strzelił, ale chybił; to samo wydarzyło się Duganowi i Bobowi. Wyprawa ujrzała się rozbrojoną na krótką chwilę; zanim zdołano nabić powtórnie broń, kilkunastu dzikich, okrążywszy jeziorko od lewej strony, wpadło z tyłu na podróżników, biorąc ich we dwa ognie.

Ten niespodziewany manewr nieprzyjaciela o mało co nie wznicił popłochu pośród szczupłej garstki napastowanych; doktor bowiem, zaskoczony przez dwóch murzynów, którzy nań natarli z oszczepami, wystrzelił na wiatr z rewolweru i umknął w krzaki... Stary Bob, w chwili, gdy kładł nabój w lufę dubeltówki, został trafiony w głowę maczugą. zachwiał się i byłby upadł, gdyby Tom, stojący obok, nie był go podtrzymał. Odważny pastuch rzucił się na napastników i wywijając kolbą młynka w powietrzu zmusił ich do odwrotu. Tymczasem Dugan i Jerzy nabili na nowo swe dubeltówki i dali szybko cztery strzały, jeden po drugim, w gromadę ludożerców. Teraz wszystkie kule trafiły; cztery nagie postacie osunęły się w trawę, aby więcej nie powstać... Inni, widząc zabójcze skutki broni europejskiej, zawahali się...

— A teraz śmiało kolbami! zawołał Tom, druzgocząc potężnym ciosem drewnianą tarczę, poza którą ukrył się jego przeciwnik, ot tak! dodał, spuszczać powtórnie swą dubeltówkę na porośłą gęstymi włosami czaszkę, Hurra!

Ku wielkiemu zdziwieniu pastucha, poczęstowany w ten sposób murzyn, zamiast paść na miejscu, przykucnął tylko, ale wnet się zerwał i szybko zaczął uciekać...

— Twarde łby mają te łotry!

Wszyscy, oprócz starego Boba, naśladowali ten przykład; on zaś podniósłszy rewolwer, upuszczony przez doktora, stanął jakby na straży. Ilekroć którykolwiek z potykających się podróżników znalazł się w niebezpieczeństwie, kula poszukiwacza złota, trafnie wymierzona, zjawiała się w samą porę, aby uchylić groźny cios maczugi lub oszczepu.

Gwałtowny atak kolbami i parę świetnych strzałów Boba powstrzymał napady zuchwałych ludożerców; podali oni tył i biegnąc wzdłuż jeziorka, połączyli się z towarzyszymi, którzy nie przestawali miotać bumerangi, maczugi i kamienie w przeciwnego brzegu.

— A tośmy im dogodzili! zawołał Tom, opierając się i ocierając rękawem pot, spływający mu z czoła. Niewiedziałem, że te łajdaki bywają tacy zajadli. Pewnie pierwszy raz dopiero poznali się z ołowiem i prochem.

— Tomie, strzeż się! zawołał nagle Jerzy.

Pastuch machinalnie pochylił się; równocześnie silnie wyrzuczony oszczep świsnął nad jego głowę.

— Do licha! zapomniałem, że trzeba jeszcze przepłóścić tę zgraję, co stoi po tantej stronie jeziorka, rzekł, nabijając dubeltówkę. No, poślijmy im salwę!

Po chwili zagrzmiało równocześnie ośm strzałów, które, padłszy w gromadę ludożerców, zadały im dotkliwe straty. Nie czekając na powtórzenie ognia, dzieci pustyni uciekły w popłochu... Niebawem, oprócz trupów, na oazie nie było ani jednego napastnika.

Odwrót ten zwycięzcy powitali głośnymi okrzykami tryumfu, na które odpowiedziały, z poza dymiących jeszcze szczątków niedawnego pożaru, żałośnie wycia kobiet i wrzask przestraszonych dzieci.

— Chwała Bogu, jesteście ocaleni! rzekł Dugan, zdejmując nabożnie czapkę.

XIII.

W KRAINIE FILARÓW PIASKOWYCH.

Powyzsze wypadki przekonaly naszych podroznikow, ze pustynie, zalegajace wnetrze Australii, na pozor calkiem bezludne, sa zamieszkałe przez bitnych i odwaznych krajowcow, ktorzy oddaja sie wstretnemu kanibalizmowi.

Stwierdzil to takze Giles, który podczas, swej wielkiej podróży w poprzek lądu, musiał stoczyć nie jedną potyczkę z dzikimi, jak równie Burke, Leichhardt i inni badacze.

Należy, zaiste, podziwiać, jak te dzieci pustyni potrafią zabezpieczyć sobie byt wpośród bezwodnych stepów spinifeksu i obszarów straszego skrubu, gdzie wszelkie życie, zda się, zamarło.

Dzicy, ktorzy tak niespodziewanie znaleźli się w sąsiedztwie oazy, nie różnili się prawie od mieszkańców wschodniego Queenslandu; mieli oni tak samo ciemno brunatną skórę, obfite czupryny lekko wijących się włosów, płaskie nosy, skąpy zarost i szerokie usta, tylko pod względem rozwoju fizycznego przedstawiali się daleko gorzej. Ich długie, cienkie nogi, pozbawione niemal zupełnie łydek, chude ręce i wystające brzuchy, dowodziły, że w pustyni trudno o dostatek pożywienia.

Jakkolwiek, dzięki wyższości broni europejskiej nad oszczepami, bumcrangami i nollanollami, zwycięstwo przechyliło się ostatecznie na stronę podroznikow, niemniej wszakże należało uniknąć drugiego spotkania z dzikimi, gdyż takowe mogło się jeszcze gorzej zakończyć.

W bitwie najbardziej ucierpiał Morbora; podniesiono go bowiem z raną od oszczepu i z głową nadwężoną od uderzenia maczugi; gdyby natura nie obdarzyła tak twarde mi czaszkami jego rasy, to napewno przypłaciłby śmiercią swoją przygodę; Dugan opatrzył go, jak lekarz zawodowy, Abel zaś wziął go pod opiekę. Dzięki tej pieczołowitości zdrowie czarnego przewodnika znajdowało się na dobrej drodze.

Stary poszukiwacz złota odniósł także lekką ranę w starciu; cios maczugi rozciął mu skórę na czole; pocziwiec nie sobie jednak z tego nie robił; nie pierwszy to raz w życiu oberwał on guza porządnego; w swoim czasie staczał krwawe bójkę w kopalniach złota i nosił nie jedną szramę na czole.

Z wyjątkiem doktora, który roztropnie usunął się z pola bitwy, i Dugana, wszyscy członkowie wyprawy otrzymali jakieś lekkie draśnięcia... Słusznie się więc obawiano, aby dzicy, ochłonawszy z przestachu, nie ponowili ataku. Ponieważ nigdzie w sąsiedztwie nie było wody, przeto, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wyprawa nie długo cieszyła się spokojem.

Te względy skłoniły Dugana do skrócenia pobytu nad jeziorkiem. Następnego dnia napojono do syta wielbłądy, z których jeden miał skaleczoną bumerangiem szyję, nabrano we wszystkie worki i butelki świeżej wody i z żalem opuszczono uroczą oazę, przeklinając krajowców, ktorzy tak nie w porę przerwali wyprawie zasłużony wypoczynek.

— Jak dal ko mamy do celu podróży? zagadnął Jerzy, wsiadając niechętnie na swojego wielbłąda.

— Podług moich obliczeń, musimy jeszcze zrobić trzysta kilometrów, odparł Dugan.

— Więc za kilka dni ujrzymy tę krainę cudów, o której wspomina dokument?

— Tak, jeżeli nic nie stanie nam na przeszkodzie.

— Oh, jakże jestem ciekawy!

— Przyznam się, że i ja pragnąłbym jaknajprędzej rozwiązać zagadkę, odezwał się Abel. Bądź co bądź cudzoziemiec, zmarły w Little Downs, zabił nam ówieka w głowę. Od dawna zastanawiam się nad treścią dokumentu, a jeszcze nie zdołałem się domyślić, czego właściwie należy się spodziewać.

— Cierpliwości, dowiemy się wkrótce.

Tom i stary poszukiwacz złota chciwie łowili uchem każdy wyraz powyższej rozmowy, rzucając sobie tajemnicze spojzenia. Kiedy Dugan zamilkł, pastuch zbliżył się niepostrzeżenie do swego towarzysza.

— Słyszałeś? zagadnął go cicho.

— Słyszałem, odparł równie cicho Bob; nasz dowódca jest ostrożny, ani słowa! nie uda mu się jednak wyprowadzić w pole takiego starego wyjadacza jak ja!

— A czy znasz się na złotodajnych gruntach?

— Jeszczeby też!

— No i cóż?

— Dotąd nie widziałem nic, coby pozwalało przypuszczać sąsiedztwo placerów; nie bój się, nie zaśpię gruszek w poiele!

— A jeżeli pan Artur nie pozwoli nam robić poszukiwań?

Stary uśmiechnął się.

— He, he, nie pozwoli? Nie wiesz, widocznie, co to jest złota gorączka. Ci, co na nią zachorują, zmieniają się, jak pod wpływem czarów.

— Hm, bądź co bądź Dugan nie wydaje mi się wrażliwym na żółte kamyki.

— A ja ci powiadam, żeś głupi. Skoro tylko je zobaczy, zapomni o swoich skałach, termometrach, barometrach, sektansach, zwierzętach i roślinach. Widziałem już niemało takich w swoim życiu. Pracowałem obok uczonych profesorów, co rzucili uniwersytety i poszli przez pustynię z łopatą na ramieniu i kołdrą pod pachą do kopalni; z urzędnikami, którzy o uścili posady, z członkami parlamentu; ha, kogóż to nie było w takim Mining Creek naprzykład! I, powiem ci prawdę, że żaden z tych panów nie żalował potem tego, co uczynił.

— Ha, czekajmy więc!

— Tak czekajmy, aż wybuchnie gorączka; powiadam ci raz jeszcze, że nikogo ona nie oszczędza.

Nie wiemy, coby powiedział Dugan, słysząc słowa starego poszukiwacza złota. Czy byłby oburzonym? Czy może roześmiałby się i wzruszył z politowaniem ramionami? W każdym razie nie domyślał się on, jakiego rodzaju pragnienia murtowały w głębiach duszy tych dwóch ludzi i spokojnie szedł naprzód, daleki od wszelkich celów, nie związanych ściśle z nauką bezinteresowną.

Przez trzy dni karawana przebywała piaszczyste diuny, porośnięte kolczastym spinifeksem, wyschłe łożyska strumieni, w których od roku nie płynęła woda.. nic nie zwiastowało bliskości owej tajemniczej krainy, o której wspominał z takim zapałem, a zarazem z taką goryczą, nieszczęśliwy autor dokumentu.

Czwartego, dnia na horyzoncie ukazały się strome góry, rozciągające się daleko na północ i na południe; diuny wznosiły się stopniowo, piaski ustępowały miejsca czerwono-żółtym złomom pustynnego piaskowca, samotnie rozrzuconym tu i owdzie skałom, u stóp których szemrały nikłe strumyki, spływające z nieznanych wyniosłości.

Dugan zaciekawiony, wydobyl mapy i bacznie poczał się w nich rozglądać.

— Panowie! rzekł, znajdujemy się w obec nieznanego zupełnie pasma; możemy powinszować sobie nowego odkrycia geograficznego, dużej doniosłości.

— Czy dokument wspomina o górach? zagadnął Abel.

— Tak, ale bardzo niewyraźnie. Spójrzno! na załączonym szkicu widnieją zarysy jakichś wyniosłości, mniej więcej położonych pod tą samą szerokością geograficzną; trudno mi jednak wnioskować, czy znajdujemy się właśnie naprzeciw nich.

— O ile mi się zdaje, czeka nas bardzo trudna przeprawa, odezwał się Jerzy, zbadawszy majaczące w dali góry; — widzę poszarpane, strome, wysokie ściany skaliste, ciągnące się bez żadnej przerwy.

— Należy się tego spodziewać, odparł Dugan. Bądź co bądź, znajdziemy przejście... Poza temi górami rozciąga się kraina cudów przyrody i ani chwilę nie wątpię, że potrafiemy się do niej dostać... Towarzysze, nie cofniemy się przed żadnymi trudnościami! Nieprawdaż?

(d. c. n.)

PACHNIDŁA.

Rozwój chemii wytworzył nową gałąź przemysłu — fabrykację pachnideł, pospolicie perfumami zwanych. Niestety, sztuka nie potrafiła dotąd zastąpić natury. Mnóstwo perfum zaledwie przypomina kwiaty, których nazwę noszą, umiemy bowiem naśladować tylko następujące zapachy: magnolii, lęwkonii, groszku, caprifolium, heliotropu, wreszcie głogu i fiołków. Lecz naturalne wonie kwiatów umiano już zbierać i zachowywać w głębokiej starożytności, a nawet używano ich daleko więcej niż obecnie. Dzisiaj jesteśmy o wiele wrażliwsi na zapachy; zbyt silnie uperfumowana osoba może przyprowadzić o ból głowy osoby blisko niej siedzące; porównajmy teraz subtelność węchu naszego z małą na tym punkcie wrażliwością Egipcyan, którzy przyjmując gości, wręczali każdemu kwiat lotusu, a każdy obowiązany był trzymać go do końca wizyty, dalej podłogę zarzucano kwiatami, wreszcie

skie naprzykład, składały się z dwudziestu przeszło zapachów, niektóre potrzebne doń żywice i olejki sprowadzano aż z Azji i Afryki. Całą część miasta zajmowali fabrykanci pachnideł, a każdy z nich starał się o wytworzenie nowej kombinacji różnych woni i sposób przez siebie wynaleziony zachowywał w najściślejszej tajemnicy przed współzawodnikami, przekazując go tylko przed śmiercią swemu następcy.

Wszystkie ludy wschodnie: Arabowie, Persowie Izraelici lubili perfumy i największy handel niemi prowadzili. U Izraelitów nawet jedna dziesiąta część posagu miała być obróconą na pachnidła dla panny młodej.

W Europie znów panowanie pachnideł rozpoczęło się dopiero przy końcu piętnastego wieku. Najwięcej używano żywic i olejków. Obecnie w południowej Europie, gdzie rośnie wielka ilość pachnących roślin, a szczególnie w okolicach Nicei wydobywają zapach z kwiatów, mieszając je z warstwami świeżego zupełnie tłuszczu, gliceryny, moczając je w spirytusie, na wschodzie znów, np. w Turcyi, zajmują się głównie wyciskaniem olejku z róż stulistnych. Olejek różany ma bardzo trwałe i silny zapach, należy jednak do bardzo kosztownych pachnideł, to też więcej daleko istnieje fałszowanych różanych perfum, aniżeli prawdziwych.



Nietzwiedź morski.

palono wonne guny i żywice, a niewolnicy skrapiali od czasu do czasu głowy przybyłych osób wonnościami. Łatwo wyobrazić sobie jaka duszność musiała panować, w tak uperfumowanej sali. Któż u nas nie uciekłby z atmosfery, którą Egipcyanie raczyli swych gości.

Bogom egipskim składano też ofiary z wonnych kadzideł.

Grecy również lubili pachnidła i mieszała kilka jednocześnie, nacierając sobie brwi macierzanką, twarz olejem palmowym, a ręce miętą. Widzimy ztąd, że najlepiej przypadały im do gustu zapachy zwykłych ziół, które łatwo było wszędzie zbierać.

Dla pogawędki gromadzili się też Grecy w perfumeryach, które zastępowały im nasze obecne kluby, resursy, a wreszcie restauracje i cukiernie. Grecy niezmiernie lubili rozmowę, celowali w niej werwą i dowcipem, to też perfumeryom nigdy na gościach nie zbywało; pachnidła greckie dostawały się też do Rzymu, lecz ich prostota nie wystarczała zbyt kuczającym patrycyuszom, zaczęto więc w Rzymie wytwarzać perfumy, złożone z kilku i kilkunastu zapachów. Perfumy królew-

owych pachnideł, to też więcej daleko istnieje fałszowanych różanych perfum, aniżeli prawdziwych.

Niektóre zapachy nietylko przyjemność sprawić nam mogą, wielu lekarzy utrzymuje, że mogą być także środkami leczniczymi, naprzykład zapach eukaliptusowych liści przynosi ulgę w przeciąglej i męczącej chorobie, w malarii, właściwej miejscowościom bagnistym, wilgotnym.

Zapach ma też znaczenie dla samych kwiatów, przyciągając do nich owady, a czytelnicy Wieczorów, obznajmieni z botaniką, wiedzą jak ważną rolę odgrywają te stworzonka przy zapyłaniu kwiatów.

Owady, przyznać trzeba, nie wybredzają w zapachach, w krajach podzwrotnikowych naprzykład, rośnie olbrzymi pasożyt, *Rafflesia Arnoldi*, którego kwiat ma przeszło łokieć średnicy i wydaje woń zgnilizny, od której ludzie uciekają jak najdalej, a znów owady całymi rojami obsiadają *Rafflesię*, żywiąc się łakomie lepkiem sokiem, który z siebie wydziela.

Tak więc w roślinach nietylko barwa, lecz i zapach przyciąga owady.

A. M.

GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XIV wieku.

P. ZUZANNĘ MORAWSKĄ.

(Dokończenie).

Ze zaś kobiety, nawet skąpa Kiljanowa, wnosily z chat wędzoną rybę dla uczęstowania przybyłych, porzucił swą wagę i wyrzucając piętam pobiegł niby to gwoli dopomożeniu im w wynoszeniu poczęstunku, a właściwie dla pochwyccenia najlepszego kaska.

Tymczasem Mirko, którego rybacy czasami widywali nad jeziorem, jako strzelca z gór i w swej wyobraźni uważali jakby jakieś nadzwyczajne zjawisko, ten Mirko stał teraz otoczony najpoważniejszymi rybakami, prawili im o pracy, która stać się miała źródłem późniejszego ich dobrobytu i bogactwa.

— Biją źródła tak bez żadnej przyczyny? pytał niedowierzająco Kiljan.

— Przyczyną ku temu jest ciepło, będące w ziemi, które ową słoną wodę do wrzenia doprowadza — mówił Mirko. — Zupełnie tak samo, jak woda kiedy w kotle się gotuje i pomieścić się nie może, jeno kipi, a nawet częstokroć ogień zalewa — tłumaczył im dalej.

— To jeszcze człek się poparzyć może w tym wrzątku — mówił kręcąc głową Kiljan.

— Toć i w wodzie możesz utonąć, a dla tego ryby łowisz — wtrącił Wilhelm — nie chcesz iść sam do owej pracy pozwólże synowi, który oto całym uchem łowi co mu nasz Bogum prawil. A patrzno, jak oczy się mu świecą z ciekawości.

Rzeczywiście na uboczu stał Bercht i rozmawiał ze swym dawnym towarzyszem Krystyanem.

Ubranie i stanowisko, jakie dziś Bercht miał zajmować jako syn możnego pana, nie wygładziło z jego serca życzliwości do dawnego towarzysza, ujął więc dłoń młodego rybaka i rozmawiał z nim serdecznie, opowiadając wszelkie swoje przygody, które młody rybak chciwem chwycił uchem, wykrzykując tylko od czasu do czasu:

— O Jezu! Jezu! toć to jak w bajce! I tyś tego wszystkiego doznał? I ciebie Bóg najwyższy z tego wszystkiego uratował?

— Tak, Krystyanie Bóg mnie uratował i oto widziałem cuda, które i ty zobaczysz i dosyć im się nie będziesz mógł wydziwić.

— Jak to! pokażesz mi te źródła gorące i te pieczary? — zapytał z niedowierzaniem Krystyan.

— Ależ wszędzie cię zaprowadzę i wszystko co ci o tych wodach gorących opowiadam, na własne oczy zobaczysz — odrzekł Bercht i ściskając go za rękę, dodał:

— Boć ty zawsze będziesz moim przyjacielem, a jeżeli Bóg dobry pozwolił mi odnaleźć ojca i zrobić bogatym, to ja teraz wam, coście mnie między sobą wychowali, powinienem wskazać pracę, która i was do zamożności i bogactwa doprowadzi.

Bercht powtarzał te słowa, które wciąż słyszał od Mirka podczas długiego z nim pobytu. Przejął się zasadami szlachetnego strzelca i chciał teraz myśli jego urzeczywistnić. I urzeczywistnił też wkrótce, ludność rybaka z początku słuchoła z niedowierzaniem opowiadania o owych źródłach gorących, wielu nie chciało się odrywać od jeziora, do którego przywykli, lecz Krystyan i kilku innych poszło w góry za Mirkiem i Berchtem.

Wkrótce około pieczary, którą nazwali Białą niewiastą, wyrobiono studnię i ujęto wodę, płynącą potokami, woda ta jak była źródłem uzdrawiającym, tak mogła się stać przyczyną wielu nieszczęść dla całej okolicy, gdyby dobroczynna ręka błąkającego się przez długie lata po górach Mirka, nie była jej w pewne karby ujęła.

Za bratem i Berchtem chciała iść Guta, lecz mimo płaczu nie wzięto jej na razie. Babuła zaś koła płacz dziecka, mówiąc:

— Cicho, cicho, nie twoja to rzecz biedz teraz, boć słabe twoje siły; ale gdy tam wszystko jak trzeba, mój Bercht z tym cudownym strzelcem postanowi, zawezwą i ciebie, pójdziemy tam obie i będziemy im pomagać, oj będziemy!

Dziewczynka rada nie rada musiała usłuchać, powtarzała jednak sobie:

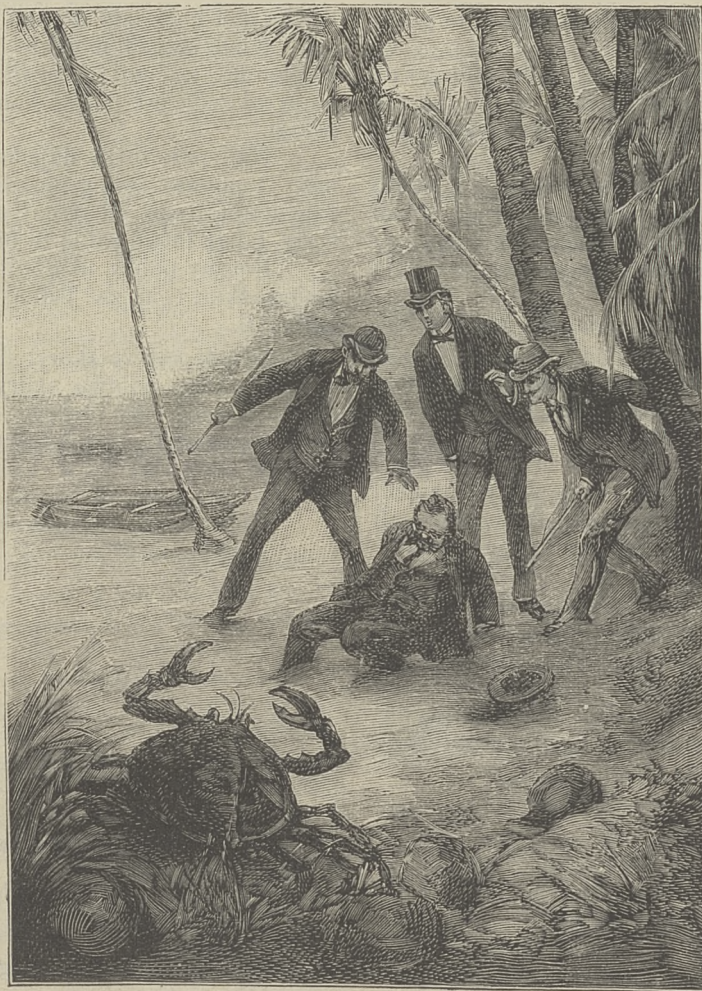
— Oj wolałabym nie mieć tych pięknych sukien, które mi ojciec Boguma podarował i tego jadła nie kosztować, które

nam zostawił, a niechby Bogum był jak dawniej z nami rybakiem,

Ale matka gromiła ją za te słowa, wołając:

— Toć to głupia dziewczucha, tyle oto szinat jej dali, że i przez całe życie ich nie zedrze, tyle zostawili różnego sprzętu i dobytku, a ta jeszcze płacze, że chłopak nie został jak dawniej rybakiem.

I rzeczywiście dola rybaków polepszać się zaczęła powoli. Najpierw biskup Gregorius wraz z Mirkiem długo gotował wodę z owych źródeł bijących i jako człek wielce uczony stwierdził, że są w tej wodzie rozmaite cząstki uzdrawiające. W tej pracy pomagał im Krystyan i kilku dawnych towarzyszy młodego Hofsteina, później zaś gdy zaczęto przy pieczarze „białej niewiasty” pracować nad ujęciem w jeden wielki basen bijącego wciąż źródła i wygotowywać z niego sól, która



...ujrzeli olbrzymie ciło jakiegoś skorupiaka (str. 247).

stała się dobrodziejstwem całej ludności, powołano dużo ludzi do pracy.

Biskup Gregorius postarał się też o urządzenie taru łaźni, woda ze źródeł uzdrawiała chorych, moc też ludzi ze wszystkich stron ściągająca.

Chorzy pili wodę z tych źródeł, obmywali i kąpali cierpiące członki, a nie było prawie nikogo, ktoby ulgi w swych cierpieniach nie doznał, lub uleczonej nie został.

Lud nazywał te źródła cudownymi, cudów zaś rzeczywistość jeżeli nie źródła, to wymowa wielebnego Gregoriusa dokonywała. Dawny bowiem biskup, uwolniwszy się od uciążliwych obowiązków, jakie dotąd sprawował, osiadł jako pustelnik w górach, gdzie dobroczynny wpływ jego nauki wydał wkrótce najlepsze owoce.

Ustały rozboje, bo tych, którzy im się oddawali, umiał powołać do pracy, wskazać w niej szlachetne źródło bogactwa, do którego tak cheiwie niecnem swem dążyli dotąd rzemieślnicy.

Cud się też prawdziwy stał z Grypem, który włócząc się za Mirkiem, poddał się powoli jego wpływowi i do pracy nakłonił.

Hrabia Hofstein odbudował zamek, około którego na wzniesieniach i stokach gór, zaczęto stawiać domy i tak powoli wśród tych groźnych i niedostępnych skał wzrastać zaczęło miasteczko.

Babula przeniosła się za swym wychowawcą. Osiadła tuż przy głównym budynku, wystawionych świeżo łaźni i wszystkim opowiadała o cudownych źródłach, dodając:

— To on, to mój Bercht to wszystko urządził, te źródła to są Berchtesgaben.

I nazwa ta przyrosła do górskiego miasta, którą z biegiem czasu na Berchtesgaden zmienili.

Berchtesgaben jest rzeczywistość dziś dobrodziejstwem dla biednej górskiej ludności, bo napływająca corocznie rzesza chorych, daje im godziwy zarobek.

We wzrastającym coraz to więcej mieście dnia 18 czerwca, czężą nawet dotąd święto babuli; u stóp skały, mającej wygląd niewiasty w czepcu, zbiera się lud okoliczny, pali ogień i śpiewa pieśń, w której po każdej zwrotce powtarza:

„Babula, babula!”

Nawet imię małej Guty nie zaginęło, uliczkę bowiem pnącą się wśród stromych skał, nazwano Gutagasse. Tylko imiona prawdziwych dobroczyńców tej górskiej krainy zapomniane zostały. Nikt bowiem dziś nie wspomina pobożnego Gregoriusa i szlachetnego Mirka. Chyba echo, przepływające rozległe przestrzenie i wichry górskie powtarzają tęskne dźwięki tej pieśni, która ich obu złączyła.

NIEDŹWIEDZIE MORSKIE.

Jaki mamy pożytek ze zwierząt drapieżnych? Tępiemy je, ponieważ lubią żywić się naszymi trzodami, a nieraz i życiu naszemu zagrozić potrafią, nie jemy jednak ich niesmacznego mięsa i korzystamy jedynie z ich futer.

Oprócz zwierząt drapieżnych, futer dostarczają nam także zwierzęta pletwonogie, a między niemi najbardziej poszukiwanym jest niedźwiedź morski, duże na kilka łokci, ociężałe stworzenie, do fokii podobne, lecz z dłuższą niż u niej głową.

Futro niedźwiedzia morskiego przybiera różne barwy stosownie do wieku zwierzęcia. Głównym i najpospolitszym jest kolor ciemnobronzowy; młode mają futro srebrzyste, od spodu włos bywa nieraz czerwonawy, lub czarny, lecz zawsze jest nadzwyczaj miękki, jedwabisty, tu i owdzie tylko wystaje włos twardszy i szorstki. Przednie łapy w tył zwrócone i pletwowate pozbawione są włosów, pokrywa je miękka, czarna skóra. Tylne nogi zwrócone są ku przodowi, mają pięć palców wyraźnych, z tych trzy opatrzone pazurami.

Z układu nóg widzimy, że niedźwiedzie morskie nie mogą poruszać się swobodnie na stałym lądzie, jak w ogóle wszystkie pletwonogie, za to płyną szybko po lodowatym morzu, które jest ich ojczyzną.

Morze Behrynga — to główne siedlisko naszych niedźwiedzi, które niepodzielnie panują nad małym archipelagiem Przybyłowa. Ciężki tam do zniesienia klimat. Gdy ustana mrozy, następują ciągłe mgły i deszcze. Jednak rosną tam wierzyby, różne gatunki traw, wrzos, dzięgiel, goryczka, dalej sitowie i jaskry. Nieliczni osadnicy tych wysepek uprawiać mogą tylko sałatę, rzepę i rzodkiew.

Wracając do naszych niedźwiedzi przypatrzymy się niektórym szczegółom ich życia. Każdy z nich na wiosnę obiera sobie część wyspy, którą uważa jako swoją posiadłość; nie wiele mu potrzeba, jakie szesnaście do dwudziestu łokci kwadratowych ziemi, ale biada temu niedźwiedziowi, który zapragnąłby wyrugować z siedliska pierwszego właściciela. Wre wtedy tak zażarta walka, że nieraz napastnik lub też napadnięty traci w niej życie. Szczególniej są bronione siedliska nad brzegiem morza.

Niedźwiedzie morskie mają głos bardzo nieprzyjemny. Ponieważ tysiącami te stworzenia zalegają wyspy, możemy sobie wyobrazić, jak miłym koncertem darzą mieszkańców archipelagu.

Najlepsze futra dają niedźwiedzie pięcio lub sześciolate. Ponieważ żyją gromadnie, więc łowcy starają się zagrozić stadu drogę od strony morza, i pędzą zwierzęta na ląd stały, gdzie łatwo zabić te biedne, niezgrabne stworzenia.

Roczny połów niedźwiedzi morskich daje do dziesięciu tysięcy skór, cena zaś jednej skóry wynosi około pięćdziesięciu rubli.

Zdarte świeżo skóry, idą najpierw do solarni; tam składają robotnicy po dwie skóry zwrócone do siebie futrem i sypią na nie sól. Po dwóch — trzech tygodniach, skóry zwinięte futrem na wierzch ładują na okręty i odstawiają do zakładów specjalnych, w których skóry przechodzą jeszcze przez różne operacje, zanim okażą się w handlu.

Mięso niedźwiedzi morskich jest podobno bardzo smaczne i przypominać ma wołowinę.

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

Jedne z nich przedstawiają dość duże urodzajne wyssepki, inne, drobne koralowe rafy i nagie skały, a jest takich ilość największa, które niby pierścieniem wapiennym otaczając dawniej, zapadły już obecnie grunt stały, tworzą tak zwane „atole”, których część środkową zajmują laguny lub jeziora.

Skaliste i nieurodzajne początkowo, lecz przez długi szereg lat pokrywane warstwą narzucanego przez bałwany mułu, oraz drobnych roślin i żyjątek morskich, posiadają obecnie, na znacznej głębokości, grunt o tyle urodzajny, że zdobi go najwspanialsza podzwrotnikowa roślinność,

Ominąwszy z wielką uwagą Vihitahi, otoczoną koralowymi rafami, pan Ethel Simoe zostawia na boku nieco większą Akiti, wznoszącą się trochę wyżej od innych, nad poziom morza i przy swej wielkości nie mającej dotąd wewnętrznych lagunów. Również w oddaleniu tylko ukazuje się śliczny pierścień, jaki tworzy wysepka Aman, z dwoma wązkami przejściami od wód środkowych do oceanu.

Podczas, gdy mieszkańcy Miliard-City zadawalniają się w zupełności powitaniem z daleka tych ziem, które zwiedzali już w roku zeszłym, artyści francuscy chętnie zatrzymaliby się tu nieco dłużej, dla poznania jedynych w swym rodzaju, a również jak Standard-Island, sztucznych wysp, zawdzięczających jednak istnienie swoje nie rękomi i rozumowi ludziemu, lecz drobnym i słabym mięczakom.

— Ale które też, dodaje pan Simoe, pozbawione są możliwości przenoszenia się z miejsca na miejsce...

— Zdolność tę, Standard-Island rozwija aż nadto w obecnej chwili, odpowiada Ponchard. Mogłaby przecie odpocząć chwilę przy jednym z tych pięknych bukietów zieleni...

— Bądźcie panowie spokojni, upewniał komandor, zatrzymany się niebawem przy wyspie Hao i Anaa, a dłużej nieco u brzegów Tarakawy, co sądzę zadowolni w zupełności, usprawiedliwioną zresztą, ciekawość waszą.

Gdy więc dnia 23-go września Cudowna wyspa podpłynęła do Hao, wielu jej mieszkańców, a między nimi i nasi artyści kazali się przewieść do głównej wioski, położonej w głębi, nad lagunami, które wązkami przejściem łączą się z morzem. Po obu brzegach małej tej cieśniny rosnące piękne palmy, myrty i pandanusy tworzą uroczy tunel, pełen zieloności i aromatycznej woni.

Dodatne jednak wrażenie wysepki Hao, zatarło się prędko w pamięci podróżnych wobec szczególnego wdzięku, jakim wabi oczy najbliższa jej sąsiadka Anaa. Wązki ten pas ziemi niby strojny zielenią olbrzymi wieniec, ma strome od morza, a lekko ku lagunom pochylone brzegi.

Rozrzuczone tu wśród palmowych lasów wioski, sprawiają miłe wrażenie szczególnej starannością w pobudowaniu domów, których wewnętrzny porządek również za wyjątkowy w tych krajach uważać można.

Jeżeli mieszkańcy wysp Tuamotu o czarnym prawie kolorze skóry mniej są urodziwi, i jeżeli charakter ich nie jest tak zajmującym, jak to zauważyliśmy u Markizanów, przedstawiają jednak doskonały typ ludności Oceanii.

Zniszczona w straszny sposób, w końcu XIX stulecia, przejściem burzącego wszystko cyklonu, Anaa zakwitła wkrótce na nowo, lecz chociaż liczy obecnie piętnaście tysięcy mieszkańców, rywalka jej Tarakawa nie wróciła jej już zaszczytu pierwszeństwa, jako stolicy władz rządu francuzkiego, oraz głównego punktu tutejszego handlu. Przyczyny pozornej tej niesprawiedliwości, szukać należy zapewne w łatwiejszym dostępie, jaki tamta ziemia dla żeglugi przedstawia.

Szybko i bujnie rosnące tu kokosowe palmy stanowią dla mieszkańców produkt pierwszego rzędu; owoc ich bowiem w różnym stanie dojrzenia, służy już to za orzeźwiający napój, już też za pokarm zdrowy i posilny. Chętnie też bardzo żywi się nim trzoda, drób, a nawet psy, z których pieczęń uważaną jest za wyjątkowy przysmak przez krajowców.

Jeżeli nadto weźmiemy pod uwagę, że z tłustego jądra tego orzecha, suszonego na słońcu, wyłaczają tu, sposobem dość pierwotnym, doskonały olej, będący prawie jedynym przedmiotem handlu tych ziem oddalonych ze stałymi lądami świata, to przyznać nam trzeba, iż jest to prawdziwie opatrznościowe drzewo dla zamieszkałej na tym archipelagu ludności.

Orzechy kokosowe mają jeszcze w tych stronach szczególnego rodzaju amatora, jak mógł się przekonać o tem nacocznie Kwartet francuzki, przebiegający wspaniałym wielkiem. Gdy zmęczony razu pewnego wspaniałym na świeżej miękkiej murawie, przestraszył go nagle dziwny szelest wśród zarośli. Lękając się, chociaż bezzasadnie, obecności jadowitego węża, prędko stanęli wszyscy gotowi do obrony, gdy ujrzeli wreszcie olbrzymie ciało jakiegoś skorupiaka.

— A szkaradne stworzenie! zawołał Ponchard, podnosząc laskę, by nią uderzyć zbliżające się zwierze.

— Nie mamy się czego obawiać, uspakajał towarzyszy przytomny Frankolin, jest to nieszkodliwy dla nas całkiem gatunek raka, przez krajowców „birgo” zwanego, który hodowcom znaczne wyrządza szkody.

— Pozostańmy tu spokojnie, a może nam się uda zobaczyć, jak to zwierzę poradzi sobie z twardą lupiną owocu.

— Więc to nie jest rak morski, ten birgo, pytał Yvernes.

— Zdaje się, że żyje on przeważnie na ziemi, to jest w głębokich norach, które sobie kopie w pobliżu palm kokosowych i wycięcia włóknom, zdartem z ich owocu. Dziwi mnie jednak, że się nam we dnie ukazał, utrzymując bowiem, że dopiero nocą wychodzi na żer.

— Musiał mu dzisiaj wyjątkowo głód dokuczyć, mówił Ponchard, śledząc bacznie ruchy olbrzymiego skorupiaka, który wyciągnąwszy naprzód wielkie nożyce przedniej pary nóg, obracał w nich znaleziony właśnie orzech i zdierał pokrywające go włókno.

— Ciekawa rzecz, jakby sobie radził, gdyby na ziemi nic odpowiedniego nie znalazł, odezwał się pierwszy skrzypek.

— Utrzymują, że w takim razie włazi na sam wierzchołek drzewa i zrzuca na dół owoce...

— Nie może być!.. Takie ciężkie, niezgrabne stworzenie jakże zdoła się utrzymać na wysmukłym pniu palmy...

— Przypatrz się jednak, jak to niezgrabne stworzenie zręcznie i mądrze bierze się do rozłupania skorupy, jak bije twardymi nożycami, niby żelaznym młotkiem, w jedno i to samo miejsce... Brawo, udało mu się znakomicie, oto już otwór zrobiony!

— Czy tylko nie nadto mały w stosunku do potężnych jego kleszczy.

— To już jego rzecz! Powiększy go, gdy będzie potrzeba.

— Nie, nie! radzi sobie inaczej, tylne łapy znacznie węższe wysuwa teraz naprzód. Jakże ich zręcznie używa! Patrzcie, wyjmuje już kawałkami orzech i z apetytem zajada.

— Jest rzeczą pewną, — odezwał się Yvernes, że natura stworzyła tego birgo do otwierania orzechów kokosowych...

— Albo, że orzechy kokosowe stworzone zostały dla tego skorupiaka, — żartował Ponchard.

— Zdaje mi się, iż człowiek nie umiałby sobie lepiej radzić.

— A gdybyśmy też próbowali przeszkodzić temu, by krab zjadł orzech, albo żeby orzech zjedzony został przez kraba, — ciągnął dalej wesoły zawsze Ponchard.

— Proszę mu w niczem nie przeszkadzać, — zaprotestował Yvernes, nie dajmy nawet takiemu stworzeniu złego pojęcia o uprzejmości francuskiej.

— Zgoda, niech i tak będzie, — odpowiedział uśmiechając się Jego ekscelencya.

Opuściwszy po sześćdziesięciu godzinach odpoczynku wyspę Anaa, Standard-Island płynie w stronę Tarakawy, kierując się między mnóstwem raf i wysepek, przedstawiających zdala śliczny widok, niby pływających kosów kwiatowych, wśród których uwija się niezliczona ilość łodzi, świadczących o skupiającym się tam handlu i przemyśle całego archipelagu.

Wspaniała obraz jaki się roztacza dokoła, pociąga ku sobie ludność miliardowego miasta, która tłumnie zalega brzegi Standard-Islandu.

Za przybyciem jej do portu Tarakawy, gubernator tejże, stary oficer marynarki francuskiej, przedstawił się pierwszy w Tribor-Harbour, by powitać miłych mu gości. Po ceremonialnym przyjęciu przez Cyrusa Bikerstaffa, oświadczył zamiar zwiedzenia miasta i wyspy, na co oczywiście zgodzono się chętnie wyznaczając rolę przewodnika, wyjątkowo zdolnemu w tym kierunku Kalikstusowi Munbar. Rzecz naturalna, że Koncertujący Kwartet wraz z panem Atanazym Doremus nie zaniedbali się przedstawić swemu współziomkowi, który powitał ich ze szczerą radością, zatrzymując w swem towarzystwie aż do ostatniej chwili odjazdu.

Nazajutrz czyniąc zadość formom etykiety, gubernator Standard-Islandu wraz z paryżanami złożył wizytę reprezentacyi władzy francuskiej mieszczącej się w głównej wiosce Tarakawy. Rezydencya to niezbyt wspaniała, domki skrom-

ne, a siła zbrojna rządzącego tu państwa, ogranicza się do liczby kilkunastu starych marynarzy.

Mieszkańcy tutejsi oprócz handlu orzechami kokosowymi i wytłaczanym z nich olejem, zajmują się nadto połowem pereł, który jest dość znaczny, szczególnie u wybrzeży sąsiedniej Tuani.

Smiali ci nurkowie nie lękają się, bez żadnych przyrządów, zapuszczać w znaczne głębiny oceanu, a wywiczone ich w tym kierunku płuca, więcej niż minutę wytrzymują pod wodą zupełny brak powietrza.

Jakkolwiek damom w miliardowym mieście nie zbywa na klejnotach wszelkiego rodzaju i najwyższej ceny, chętnie jednak zakupują jako pamiątki, najpiękniejsze okazy muszli i pereł, a rzecz szczególna, że i w tem nawet, współzawodnictwo pani Tankerdon nad rodziną Coverley'ów zwraca powszechną uwagę. Kupcy jednak i biedni nurkowie, zbierają przy tej sposobności sumy o jakich nigdy nie marzyli.

Gdy po dwóch tygodniach odpoczynku upłynął czas przeznaczony dla wysp Pomotu, Standard-Island żegnana uroczyście przez władze francuskie, zwróciła się w stronę zachodnio-południową i walcząc z licznymi przeszkodami, jakie tu tworzą rafy koralowe, zamierza przebyć owe pięć stopni, które dzielą ten Archipelag od grupy wysp Towarzyskich.

Siła tysiąca koni parowych unosi ją w kierunku, tak poetycznie wstawionej przez Boaugainville'a, uroczej Taiti.

WYSPA TAITI.

Archipelag wysp Towarzyskich, także wyspami „Wiatru” zwany, liczy razem około dwóch tysięcy dwustu kilometrów kwadratowych powierzchni lądu stałego i dzieli się położeniem swem na dwie wyraźne grupy. Ze wszystkich tych ziem najbardziej w stronę północno-zachodnią wysuwa się prześliczna Taiti, a wznosząca się tam na dwieście trzydzieści metrów wysoka góra Moia, albo Diadem zwana, zdaleka już wskazuje płynącej Standard-Island obecny cel jej podróży.

Pierwszy to raz mieszkańcy Miliard-City mają zatrzymać się u tych wybrzeży, zeszłego bowiem roku zbyt późno wyruszyli w podróż, aby mogli się zapuścić w tak dalekie strony i już od Pomotu nawrócili w powrotnej drodze ku równikowi. A jednak archipelag ten jest bezwątpienia najpiękniejszym ze wszystkich wysp na Oceanie Spokojnym; przyznają to bezspornie najmniej nawet na wdzięk przyrody wrażliwi, podróżni.

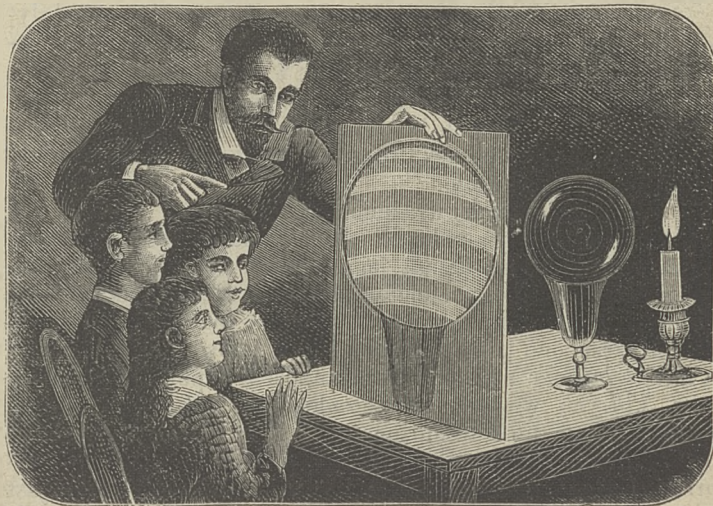
Stosownie do życzenia większości głosów, na ogólnem zebraniu w ratuszu, pan Ethel Simoe nie kieruje się wprost do portu Papeete, który jest zarazem stolicą wyspy Taiti, ale okrąża jej brzegi od strony południowej, dając możność zebraniem w Tribor-Harbour miliardowiczom podziwiania za pomocą lunet, wspaniałych wybrzeży wyspy, na których znać kulturę, na jaką może zdobyć się ręka cywilizowanego już człowieka.

Następnego dopiero dnia, skoro świt rozjaśnił horyzont Standard-Island staje u wniścia do portu, a liczne tłumy cisną się do Tribor-Harbour, by zająć miejsce w przygotowanych już łodziach i co rychlej powitać nieznaną, a piękną ziemię. Mimo jednak gorączkowego pośpiechu, jaki widocznym

jest w ich ruchach, wszyscy ustąpić muszą pierwszeństwa gubernatorowi, który wedle przyjętych form, spieszy porozumieć się z miejscową władzą cywilną i złożyć oficjalną wizytę rezydującej w Papeete królowej.

W samą więc porę, bo około godziny dziewiątej, Cyrus Bikerstaff i jego dwaj adjunkci w towarzystwie Nata Coverleya i Jem Tankerdona, oraz kilku oficerów w ubraniach i mundurach galowych, zasiadają w jednej z najpiękniejszych szalup Standard-Islandu, nad którą powiewa barwna i złocista chorągiew miasta. W drugiej, niemniej wstaniałej łodzi podążają za nimi Kalikstus Munbar, artyści francuscy, oraz wielka liczba znaczniejszych obywateli Miliard-City.

(d. c. n.).



KOLOROWE OBRĄCZKI NEWTONA.

Jeżeli złożymy wydymuchaną bańkę mydlaną na kieliszku, którego brzegi trzeba zmoczyć poprzednio płynem glicerynowym, i oświetlimy ją palącą się świecą, spostrzeżemy na powierzchni bańki bardzo ciekawą grę kolorów, w której wprawne oko dopatrzeć może jakby barwne pasy tęczowe, zauważone już przez Newtona. Barwy te występują wyraźniej, jeżeli przed kieliszkiem z bańką postawimy ekranik zrobiony z przezroczystej kalki lub cienkiego woskowanego papieru, za bańką zaś w oddaleniu około 80-ciu cm. palącą się świecą, jak to nam rycina wskazuje.

Pasy kolorowe, jakby magicznym pendzlem malowane, występować będą coraz wyraźniej w górnej i dolnej stronie transparentu. Nie zajmują jednak one bezzmiennie jednego porządku, bo są jakby ruchome, i gdy jeden pas znika, drugi według pewnych zasad na jego miejsce występuje.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Mali pracownicy, p. E. L. (z drzew.). — W pustyniach Australii przez Władysława Umińskiego. — Pachnidła. — Górskie zameczysko, opowiadanie z XIV wieku p. Zuzannę Morawską, (dokoń). — Niedźwiedzie morskie, (z drzew.). — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z drzew.). — Kolorowe obrączki Newtona (z drzew.). — **Dodatek:** Szpak i zając, wiersz p. E. L. (z drzew.). — Pod kopą żyta, p. Nagodę. — Dzielnny Julek, p. Marzannę. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Na dworze landgrafów Turynii, opowiadanie Teresy Jadwigi.

WIECZORY RODZINNE



Szpak i Zając.

(Bajka).

Szpasio, przemądry ptaszek, kiedyś w letniej porze. Zbywał w polu zająca z łękiwymi ruchy. Więc zaświegotał głośno: — Jak się masz nieboże? Coś nie tego! drzysz cały i nadstawiasz słuchy. Strzelcy i psy daleko; aż mi wstyd za ciebie. Ja drwiłbym z nich po prostu, zamiast trząść się z trwogi. Czyż nie można na fortel zdobyć się w potrzebie? Od czegoż twoja głowa i tak ręce nogi? Ja!... nie skończył; choć zając potulna istota, Gotów był dalej słuchać jak się szpasio chwali. Lecz właśnie nasz bohater zobaczył cień kota I coś naksztalt mrużenia dosłyszał z oddali. Więc zerwał się co żywo, choć go nikt nie skłaniał, By nie szukał fortelu wśród tak groźnej doli. Postąpił tak jak kociół, garnkowi przyganiał, Choć wiedział nieboraczek, że tak samo smoli.

E. L.

POD KOPĄ ŻYTA.

W piękny dzień lipcowy po podwieczorku, Julcia i Kazio poszli z mamą w pole do żniwa. Była także z nimi ich cioteczna siostrzyczka, Stefcia, która po raz pierwszy w życiu przyjechała na wieś, więc przypatrywała się bardzo ciekawie i dziwiła wszystkiemu.

— Co tu bławatków w tej pszenicy! zawołała z radością, gdy przechodzili obok niezżątego ładu zboża.

— To nie pszenica, tylko żyto, poprawiła Julcia.

— A po czymże ty poznajesz?

— A bo żyto ma wasy.

— Wasy?

Stefcia z niedowierzaniem spojrzała na cioteczna siostrzyczkę, ale Kazio zbliżył się do niej i rzekł z powagą.

Czekaj, ja ci to zaraz objaśnię. Te długie, cieniutkie ździebelka, które widzisz na końcu każdego kłosa, nazywają się wasami. Żyto i tem jeszcze odróżnia się od pszenicy, że ma kłos mniejszy, cieńszy, a wyrastający wyżej od ziemi. Słoma żytnia jest najdłuższa ze wszystkich i dla tego używają jej np. do poszywania dachów.

— A słomy pszenicznej czy na nic nie używają?

— Owszem, jada ją bydło w zimie, a przytem służy ona jeszcze do wielu rozmaitych użytków; ten kapelusik np., który masz na głowie, upleciony jest ze słomy pszenicznej.

— Nie może być! z takiej zwykłej pszenicy?

— Z najzwyczajniejszej, z takiej samej, jaką widzisz na łące, tu po prawej stronie drogi, przypatrz jej się dobrze, żebyś się nauczyła odróżniać ją od żyta.

Ojciec Kazia był doskonałym gospodarzem, to też i synek jego, miał wielkie zamiłowanie do gospodarstwa, słuchał zawsze, co ojciec rozpowiadał o zbożu, a teraz skorzystał ze sposobności pochwalenia się przed cioteczna siostrzyczką swemi wiadomościami.

— Ja widzę, że pszenica jest innego koloru niż żyto, oświadczyła popatrzwszy na łące, Stefcia.

— Doskonale! żyto jest bledsze, takie niby płowe, a pszenica więcej złota.

— O! podług mnie, pszenica o wiele ładniejsza.

— I lepsza! dodała Julcia. Z pszenicy robią się bułeczki, ciasteczka, a z żyta tylko chleb. Ja żeby byłam taką, tobym siała tylko samą pszenicę.

— Tak, jednego roku, a na drugi tobyś nie mogła posiać ani ziarnka.

— Czemu? — wykrzyknęły ze zdziwieniem dziewczynki.

— A bo to nie można tak na jednym i tym samym kawałku ziemi siać rok po roku pszenicy, ani żyta, ani żadnego zboża. Tem się ziemia bardzo wysila i powiada, że jałowuje, to znaczy, że się robi nieurodzajna.

— To dziwne, cóż jej to szkodzi?

— Każde zboże, rosnąc, wyciąga sobie z ziemi pewne soki na pożywienie, ale każdy gatunek zboża innych soków potrzebuje, więc naturalnie, że gdybyśmy tak rok po roku siali w jednym miejscu pszenicę, to onaby bardzo prędko spożytkowała wszystkie soki, jakie są w ziemi dla niej przydatne i potem nie miałyby już czem żyć. Tymczasem jęczmień, albo kartofle, albo jeszcze owies, mogą sobie doskonale rosnąć po pszenicy, bo one całym innym soków potrzebuja.

— Kaziu! jakiś ty mądry, że ty to wszystko wiesz!
— zawołała z podziwem Stefcia.

— Nie jestem mądry, tylko chcę być dobrym gospodarzem, tak jak ojciec, więc się zawsze o wszystko pytam.

— Pszenica to jest bardzo wielka pani, słyszałam od ojca, że ona potrzebuje najlepszej ziemi, wtrąciła Julcia, chcąc okazać, że i ona chce być dobrą gospodynią.

— A wiecie, które zboże nawet na najgorszych gruntach się rodzi?

— Nie, nie wiemy.

— Owies; ten owies, który widzicie tam na łąnie, jeszcze całkiem zielony, bo on najpóźniej dojrzewa. Owies można siać nawet na wysokich górach, gdzie i klimat jest taki ostry i ziemia taka licha, że żadne inne zboże by się nie udało, a owies poczciwy się rodzi. Górale nie znają innego chleba, tylko placki owsiane.

— O, Kazio tak zachwala owies, bo to przysmak jego kasztanka, rozśmiała się Julcia.

W tej chwili zeszli z głównej drogi na wązką ścieżynkę, czyli miedzę, wijącą się między łąnami zboża, dzieci zaczęły zrywać bławatki i maki i na chwilę rozmowa się przerwała.

— Mówiłeś, że żyto rośnie tak wysoko, a czemuż to takie niskie? zapytała nagle Stefcia.

— Alboż to żyto? — to jęczmień!

— A kiedy ma wąsy.

— Jęczmień także ma wąsy, nawet daleko dłuższe od żyta, a zaś słomę, czyli źdźbło, ma wiele krótsze. Ze słomy jęczmiennej nic zrobić nie można, bo się łatwo kruszy, nie jest trwała, tylko bydłu bardzo smakuje.

— Nie cierpię kaszy jęczmiennej, zawyrokowała Julcia.

— A ja także z jęczmienia lubię tylko jedną rzecz zgadnijcie, co takiego?

— Alboż my wiemy?

— Piwo.

— To piwo robi się z jęczmienia? — jakto, i to nawet, które piłam w Warszawie, to było z jęczmienia?

— Naturalnie, a cóżes ty myślała?

— Ja... ja nic nie myślałam, odparła dobrodusznie Stefcia.

— To bardzo źle, trzeba zawsze myśleć i zastanawiać się nad wszystkim, oświadczył poważnie Kazio.

— Ale nie trzeba popisywać się ze swemi wiadomościami i robić takich minek, zdradzających, że się ma o sobie zbyt dobre wyobrażenie, dodała z uśmiechem mama, która idąc za dziećmi, słyszała ich rozmowę.

— Moja mamo, kiedy te dziewczęta nic nie rozumieją, cóż to złego, że ja im objaśnię, tłumaczył się zaczerwieniony Kazio.

— I owszem, objaśnij co chcesz, ale nie miej sobie za wielką zasługę, że wiesz o zbożu więcej, aniżeli Stefcia, znacznie młodsza od ciebie, a która przytem pierwszy raz w życiu jest na wsi.

Dochodzili właśnie do żniwa, zdaleka już barwiły się na łąnie czerwone spódnice żniwiarek; pieśń wesoła płynęła z piersi tych pochylonych, pracujących w pocie czoła ludzi, a błyszczące sierpy migotały w słońcu.

— Moja ciociu, jakie to żniwo śliczne, tak tu jakoś wesoło! zawołała uradowana Stefcia.

— Masz słuszność moje dziecko; żniwo sprawia rzeczywście wesołe wrażenie, bo wszyscy pracując, cieszą się, że Pan Bóg szczęśliwie zbożu dojrzeć pozwolił, że praca rolnika nie poszła na marne, ale wydała plon obfity. Zwłaszcza, gdy Pan Bóg da piękne urodzaje, to już ciężka praca przy żniwach nie dolega żeńcom, spełniają ją z lekkim sercem i pieśnią na ustach.

Żeńcy spieszyli się, żeby przed wieczorem dokończyć zaczętego łąnu, ogólny zapał do pracy ogarnął także i dzieci, wzięły się więc do znoszenia snopów, ubiegając się o to, które większy snop pochwyti i uniesie, próbowały nawet wiązać same, ale to się im nie udawało.

Po godzinie takiej pracy, pot łał się wszystkim z czoła, mama siedząca w cieniu pod kopą żyta, zawołała do siebie dzieci i kazała im usiąść także, a w chwilę potem zjawił się niewiedzieć skąd Franek, mały ogrodniczek, niosący koszyk pełen wisień i białych porzeczek.

Można sobie wyobrazić, jakimi radosnymi okrzykami powitały go dzieci i jak dziękowały mamie za tę niespodziankę.

— A żeńcy, mamusiu, nic nie dostaną? zapytała troskliwa gosposia, Julcia.

— I owszem, żeńcom lada chwila przywiozą mleka i kilkanaście bochenków chleba, zobaczysz jacy będą radzi.

— Mamusia tak ich dziś częstuje, jak na dożynkach.

— Co to znaczy „dożynki”? zapytała Stefcia.

— To takie uroczyste zakończenie żniw. Gdy już wszystkie zboża są zebrane, żeńcy przychodzą do dworu z muzyką, a jedna z dziewcząt, ta która najpilniej żęła, nazywa się panną młodą i ma na głowie wianek ze zboża, który ofiarowuje państwu i wianek ten potem przez cały rok wisi na ścianie w sieni lub w jadalnym pokoju. Państwo zaś, wywdzięczając się za wianek, częstują żeńców, potem muzyka gra i wszyscy tańczą na dziedzińcu, czasem aż do rana.

— Ach, mój Boże, jak to musi być ślicznie! moja ciociu, niech ciocia każe prędko żniwa robić, żeby te dożynki odbyły się jeszcze póki ja tu jestem.

Ciocia uśmiechnęła się, a Kazio nawet całkiem głośno się roześmiał z tej prośby Stefci.

— Moja Stefciu, czy ty myślisz, że to można, dla jakiegobądź powodu żniwa przyspieszyć? Najpierw niema tylu robotników, a potem przecież zboże nie dojrzewa wszystko od razu. Teraz można zbierać tylko żyto, potem pszenicę i jęczmień, a na samym końcu owsy i hreczkę.

— O szkoda! a dla czego to nie dojrzewa wszystko naraz?

— Już tak Pan Bóg dał, bo by sobie ludzie ze wszystkim naraz rady dać nie mogli i zboże by się psuło i marnowało. Zresztą nie sieje się wszystkiego razem: żyto sieją po większej części jeszcze w jesieni, przed zimą, pszenicę również, a wszystkie inne zboża mogą być siane tylko na wiosnę.

— I jeszcze trzeba ci wiedzieć, że te wiosenne zboża nazywają się „jare”, a te, które sieją w jesieni, „ozime”, dokończył Kazio z powagą profesora.

— No moja Stefciu, nasłuchałaś się dziś wykładu o rolnictwie; uważaj, żeby ci się to wszystko w głowie nie pomieszało, bo rzeczywiście warto, żeby dziewczynka w twoim wieku znała już gatunki zbóż. Ziemia nasza była i jest krajem rolniczym, rolnicze plody, to nasze bogactwo, więc rolnictwo nas wszystkich obchodzić powinno. A teraz wracajmy do domu, bo słońce zaszło, a nim zajdziemy, ściemni się.

— A jeżeli jutro będzie ładnie, to nas mamusia zaprosi znowu na podwieczorek pod kopą żyta! — zawołała Julcia.

Nagoda.

Dzielny Julek

przez

Marzannę.

(Ciąg dalszy).

Julkowi przykro się zrobiło, że z jego powodu mama płacze, zarzucił jej ręce na szyję i przyciągnął jej kochaną twarz do swojej, aby ją pocałować i powiedział: Niech się mama nie smuci.

Po chwili mama się uspokoiła i rzekła:

— Pamiętasz Julku jakem ci opowiadała, że kiedy Chrystus osłabł pod ciężarem krzyża, znalazł się w tłumie Szymon Cyrenejczyk, któremu kazano ten krzyż nieść dalej. Otóż jest podanie, że Szymon uwierzył w Chrystusa i stał się gorliwym wyznawcą jego nauki. Tyś mi wtedy powiedział, że chciałbyś być na jego miejscu, żeby cię podobny zaszczyt spotkał. Widzisz, to cierpienie, które Zbawiciel na ciebie zesłał jest także krzyżem, który należy nieść cierpliwie.

Julek popatrzył na mamę rozpromienionymi oczami. Mamusiu ja go nieść będę cierpliwie. Chrystus nie pożałuje, że mi go zesłał!

— Dawno już bardzo, odparła mama, żył dobry człowiek, który pisał piękne zdania; stawały się one pociechą i podporą dla wielu ludzi. Między innymi i to napisał: „Nieś odważnie twój krzyż, a kiedyś on ciebie poniesie”. To znaczy, że kiedyś on stanie ci się źródłem pociechy...

Panią Żeliborską odwołano z pokoju, a Julek leżał cicho rozmyślając nad jej słowami. Przed chwilą zdawało mu się, że kalectwo poniża go w obec innych chłopców, bo nie zapomniał ani drwin Jasia, ani litościwych, lecz nieroztropnych słów starego Mateusza. Biedny niedołączny kaleka! Dobrzy ludzie go żalowali, a źli żartowali z niego. Ale teraz ze słów mamy wyrozumiał, że Bóg szczególnie go ukochał, i że złał na niego obowiązek większy niż na innych chłopców. Teraz postanowił całym swoim życiem zasłużyć na podobne wyróżnienie. Nie będzie już płakał, ani narzekał, tylko odważnie poniesie krzyż Chrystusowy!

Julku, rzekła mama wchodząc, Jaś chciałby się z tobą widzieć. Czy może wejść?

— Mamusiu, rzekł Julek rumieniąc się, możeby lepiej Jaś do mnie nie przychodził.

Pani Żeliborska zamknęła drzwi i usiadła przy nim.

— Jaś chciałby ciebie przeprosić; bardzo żałuje tego co zrobił.

— Jaktó? mamusia wie! a ja nikomu nie mówiłem, żeby się przypadkiem Mateusz nie dowiedział, zawołał Julek ze zdziwieniem.

— Wiem mój synku, ale mniejsza o to. Parę dni temu poszłam umyślnie do Jasia i mówiłam z nim o jego brzydkim postępku i teraz bardzo go żałuje.

— Czy jego ojciec się także domyślił? Pewnie wybił Jasia, a on przypuszcza, że to ja mu powiedziałem.

— Mateusz niczego się nie domyśla, a ja mu także nic nie powiedziałem. Kiedy Jaś usłyszał, żeś nikomu nie mówił, był bardzo wzruszony i jeżeli go teraz przyjmiesz serdecznie, to może się zupełnie poprawić.

— Dobrze mamuniu, spróbuję.

Pani Żeliborska wyszła i po chwili Julek usłyszał nieśmiały głos: Czy można?

— Proszę wejść! — zawołał Julek i do pokoju wsunął się Jaś obracając czapkę w rękę.

— A! to ty? Jak się masz Jasiu, — rzekł Julek wyciągając rękę, ale Jaś się nie zbliżał i odedrzwi mówił głosem zawstydzonym:

— Paniczu, ja bardzo żałuję żeś był tak niedobry dla panicza. Już nigdy więcej nie zrobię...

— Nie mówmy o tem, rzekł Julek uśmiechając się do niego. Widzisz, znowu jestem zdrow, a tyś pewnie nie pomyślał, że woda taka zimna, i że ja nie będę mógł wstać?

— Gdyby panicz memu ojcu powiedział toby mnie on z pewnością zbił. Kiedy wieczorem wrócił do domu, ogromnie wykrzykiwał na nicponia, co panicza wrzucił do kałuży, a ja się tak przestraszyłem, żeś uciekł i całą noc przesiedziałem w stodole. Ja nie mogłem uwierzyć iż panicz zamileczał. Proszę mi wytłomaczyć, dlaczego panicz nie powiedział?

— Czyżby to było ładnie z mojej strony?

— Jaby się tam nie zastanawiał czy ładnie czy nie, gdybym był na miejscu panicza. Wielmożna pani także mówiła, że panicz nic nie powiedział, tylko odgadła gdy wymawiał przez sen moje imię...

— Widzisz nie chciałem źle postąpić, nie chciałem ciebie krzywdzić, a dlatego gniewałem się na ciebie, żeś skrzywdził twoją siostrzyczkę; to było bardzo brzydko z twojej strony.

— Już jej więcej nie biłem.

— A no, to dobrze. Teraz Jasiu chciałbym, żebyś mi coś przyrzekł.

— Wszystko zrobię dla panicza, — zawołał Jaś.

— Jeżeli kiedy zobaczysz kalekę, to pamiętaj, abyś się z niego nie wyśmiewał.

— Paniczu, nigdy, nigdy, póki życia mego.

— Widzisz, ani ty nie rozumiałeś, ani ja, póki mi mamusia nie wytłomaczyła, że Pan Jezus szczególnie ukochał kaleki. On ich z pomiędzy wszystkich ludzi wybrał ażeby jego krzyż nieśli. Czy to nie piękne Jasiu?

Łamigłówki sylabowej:

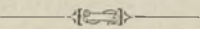
- 1) Kraszewski. 2) Andrzej. 3) Redakcja. 4) Orion.
5) Lulek. 6) Dyana. 7) Wieprz. 8) Uri. 9) Nahum. 10) Abi.
11) Sale. 12) Tur 13) Y. Z.

Karol dwunasty i Jan Kazimierz.

Czarodziejskiego kwadratu:

T	o	m	s	k
O	p	e	r	a
M	e	l	o	n
S	r	o	k	a
K	a	n	a	ł

(d. c. n.).



ZAGADKI:

Wstaw przed kopalnie imię chłopczyka;
Białe cię kwiecie wonią spotyka.

Jeden kroć i wiele kroci —
Razem się bieli i złoci.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ułożył Józef N.

- 1 W kwadracie o 6-ciu przedziałkach
. 2 ułożyć wyrazy, aby litery oznaczone
. . 3 liczbami złożyły nazwę jednej czę-
. . . 4 ści świata.
. . . . 5 Znaczenie wyrazów: 1) Król ateń-
. 6 ski, pozbawiony tronu przez Pallanty-
nów. 2) Biskup w Galicyi. 3) Stolica cesarstwa europej-
skiego. 4) Ptak z rodziny wróblowatych, pospolity u nas.
5) Hetman kozacki XVII wieku. 6) Smaczny ogrodowy
owoc.

Sylaby: e — pu — ber — si — ma — ma — ge — zy — lin —
ko — ze — li — usz — na — ra — pa — na.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

ułożył Chrabąszcz majowy.

1. Spółgłoska.
2. Ogólna nazwa zwierzęcia zimnokrwistego.
3. Rodzaj statku wodnego.
4.
5. Sztuczna osłona twarzy.
6. Narzędzie jednego z pięciu zmysłów.
7. Samogłoska.

Srodkowe litery tak w kierunku poziomym jak pio-
nowym, powinny utworzyć nazwisko poety zmarłego w ze-
szłym dziesiątku lat.

Skrzynka do listów.

Życzeniu *Skowronka z nad Wiochry* uczyniliśmy zadość wy-
syłając zasłużoną nagrodę. Że jednak miłemu ptaszкови przezna-
czoną była książeczka większa, przeto nie chcieliśmy go pokrzyw-
dzić jakkolwiek zamianą. Opłata przesyłki wynosi 20 kop.

Dobre rozwiązanie zagadki z N-ru 27 przysłał nam *Rybak z nad Wisły*. Jeżeli dotąd, ułożone przez niego łamigłówki nie
były drukowane, niech się tem nie zraża, a raczej próbuje inne na-
pisać, Redakcja bowiem, z przyjemnością wielką odbiera takie do-
wody umysłowej pracy swoich czytelników. Nie zawsze jednak
wszystko nadaje się do druku.

Figlarnej koteczce nagroda już wysłana; koszta przesyłki
wynoszą 15 kop.

Sądzimy, iż kochana *Dziewoja* odebrała już życzony numer
„Wieczorów”. Przyjaźń jej dla naszego pisma miłą nam jest bar-
dzo i zapewni ją możemy o równem z naszej strony uczuciu dla niej.

W imieniu biednych dzieci, wysyłanych na kolonie letnie,
dziękujemy *Konwalijce i Mysze z nad Warty* za nadesłanego ru-
bla. Niechże mała ich ciocia nie smuci się zbyt, gdyż tylko
przez pomyłkę nie została wymienioną w konkursie, między zasługu-
jącymi na pochwałę; nie wątpimy też, iż za staranną pracę otrzy-
ma w przyszłości, tak upragnioną nagrodę. Wierzmy chętnie, że
kochana Myszka lubi czytać wesołe komedyjki, bo wiele jej rówie-
śniczek ma takie same upodobanie.

Obie nagrody wysłane, koszta przesyłki wynoszą 20 kop.

Jaskółka cieszy się bardzo, że *Stefuś S.* tak szczerą ma ochotę
nauczenia się ortograficznie pisać po polsku, to też uznając, że
najlepszą w tym kierunku pomoc, może mu dać książeczka *Kamoc-
kiej*, redakcja wysła ją pod wskazanym adresem. Cena jej wraz
z przesyłką wynosi kop. 80.

Czemuż to dawniej już miła *Niezabudko Ukra...* nie odezwa-
łaś się do mnie? Wiesz przecie, jak lubię niebieskie twe kwiatki,
gdy krążę nad wodami, przy których obrałaś sobie mieszkanie.
Mam nadzieję, że odtąd częściej pogawędzimy z sobą, zawierając
szczerą przyjaźń. Robótki konkursowe mogą być zysne na maszy-
nie, byle bez pomocy starszych. Pozdrawiając mile braciszków
twych i siostrzyczkę, powodzenia w egzaminach życzy ci.

Jaskółka.